23. NUMER. LISTOPAD 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Wódz myśli demokratycznej.

Być może dlatego nie znalazł Maurycy Mochnacki dotychczas swego historjografa, że postać jego tak bardzo jest nieuchwytna, zwodniczemi barwami czynów i myśli błyszcząca, człowiek i publicysta, estetyk i historyk tak trudny do scharakteryzowania. Wśród burzy dziejowej i zawieruchy, przeleciał jak meteor, tysiącem promieni pryskający, w czasach klęsk i rozbicia brał na siebie trudne do udźwignięcia brzemię historyka jeszcze nie przebrzmiałej doby, a każdy jego czyn i słowo ciągnęło za sobą długi ogon ludzkiej namiętności, swaru, polemiki i uprzedzenia.

Jeszcze trudniejszą jest do uchwycenia postać trybuna ludu warszawskiego i dlatego, że duch jego bujny i głęboki we wielu promieniował kierunkach, że tak samo wybitnym był krytykiem literatury, jak i historykiem, tak samo wielkim publicystą, jak czynnym politykiem, żołnierzem, estetą, a nawet muzykiem.

Tą wieloosobowością natury Mochnackiego tłumaczyć sobie należy, że mimo wzmożonych u nas w ostatnich czasach badań nad dobą listopadową, ten co był owej doby nieledwie symbolem, dzisiaj dopiero doczekał się obszerniejszej monografji. Autorem jej jest p. Artur Śliwiński [1]), który w siedmdziesiątą piątą rocznicę zgonu, w sposób entuzjastyczny, przypomniał polskiej publiczności postać „wielkiego estety i krytyka, niezrównanego stylisty, dzielnego agitatora, żołnierza, nieustraszonego trybuna ludu, znakomitego historyka, pierwszego pomiędzy pierwszymi publicysty".



MAURYCY MOCHNACKI.

Zwykle entuzjazm i gorący sposób pojmowania postaci historycznych, nie zawsze są dobrymi doradcami dla historyka. W tym jednak wypadku zjawisko historyczne jest tak lśniące, wielostronne, tak niezwykłe, nawet w czasach rewolucyjnych, obfitujących w ludzi nad miarę i niecodzienne zdarzenia, że porwać ku sobie musiało pisarza, który do skreślenia postaci Maurycego Mochnackiego, usiadł bez powziętej z góry myśli i politycznego kątu widzenia.

To też książka p. Artura Śliwińskiego jest apoteozą Mochnackiego, taką, która aż wybacza, rozgrzesza, a nie ukrywając stron słabych, lub zgoła ciemnych nawet, stara się je odnośnie do ukochanej postaci wytłumaczyć (niezawsze szczęśliwie) i pięknym pokryć frazesem (czasami sprzecznym z własnymi sądami autora).

Dziwnie trafny i dla całego życia Maurycego Mochnackiego charakterystyczny rys odkrył autor zaraz w jego młodości. Jest nim gruntowna nie-

[1]) Artur Śliwiński: Maurycy Mochnacki. Życie i dzieła. Lwów 1909. Księgarnia polska B. Połonieckiego.

znajomość życia i spraw codziennych, którą okazywał Mochnacki nawet jako kilkunastoletni już wyrostek, który dziwił się, jak można w restauracji płacić za zjedzony obiad, skoro w starożytnej Sparcie nie żądano zapłaty za zaspokojenie głodu obywatela. Tak był zawsze bezpośrednio przejęty tem, co w danej chwili umysł jego zajmowało, że nigdy nie liczył się z warunkami, z możliwością, z faktycznym stanem rzeczy.

I to mu zostało na całe życie — w tem zapamiętaniu się w teorji leży tajemnica jego powodzenia, a zarazem i upadku kilkakrotnego, cała wybuchowość i niezłomna wiara jego publicznych wystąpień, żywiołowa siła jego słowa żywego i pisanego.

W miarę tego — powiada nasz autor — jak Mochnacki rozglądał się po świecie i przez ustawiczne studja rozszerzał zakres swej wiedzy, budził się w duszy jego bunt przeciw istniejącemu światopoglądowi, przeciw całemu życiu i wszystkim jego przejawom, bunt, którego pierwszym, naturalnym odruchem musiała być działalność burzycielska. Z nienawiści do istniejącego stanu rzeczy zstąpił w podziemia rewolucyjne, z nienawiści do racjonalizmu wieku oświeconego rozpoczął kampanię literacką w obronie romantyzmu. I jako krytyk literatury on pierwszy — powiada p. Śliwiński — złożył należny hołd Mickiewiczowi, pierwszy z krytyków polskich zawołał, że Mickiewicz stworzył poezję serca i duszy, że się od Mickiewicza poezja polska zaczyna. On pierwszy zstąpił do grobu zapomnienia, w które wtrącono dzieło Malczewskiego i wnet talent uśmiercony zadrgał i ożył w tysiącach serc i przeszedł na własność narodową. On pierwszy wskazał talenty takich poetów, jak Goszczyński, Zaleski i zapewnił im życie tak, jak zapewnił je Malczewskiemu. On to w owej epoce niósł przed narodem „oświaty kaganiec" i zmuszał całe pokolenie do podążania za sobą. On to upowszechniał piękno, dźwigał ogół na wyżyny artyzmu, oświecał ciemnych, uczył rozumieć nierozumiejących i wskazał drogę jak czynić poezję narodową, jak wszczepiać ją w serca mas.

Najpiękniejszym ustępem książki o Mochnackim jest opis walki jego z drugim potentatem myśli, tylko we wręcz przeciwnym kierunku biegnącej, z ministrem Lubeckim. Trzeba było istotnie pióra dzielnego, aby odmalować spotkanie się zapalonego trybuna z zimnym finansistą: Lubecki z wzrastającym podziwem patrzał na Mochnackiego i ze zdumieniem słuchał jego wywodów. Minister, nieporównany djalektyk, niezwyciężony w dyskusji, może po raz pierwszy w życiu trafił na gracza, który i w szermierce słowa na krok mu nie ustępował. Ale i Mochnacki z równym podziwem patrzał na swego przeciwnika: dwa przeciwległe bieguny były jakgdyby zdumione swoją bliskością. A jak biegunowo różne były poglądy tych dwu szczególnych zapaśników, tak różną była i broń, którą ze sobą walczyli. Zuchwałość Mochnackiego trafiała na mur rozwagi, chłód Lubeckiego roztapiał się w ogniu uczucia. Ale przenikliwość obu była ta sama, ale dowcip trafiał na dowcip, precyzja mierzyła się z precyzją — i w tym szczególnym pojedynku nie było zwycięzcy, ani zwyciężonego...

Zaczynając od nocy 29. listopada dał Mochnacki narodowi wszystko co posiadał. Dał swój olbrzymi talent, swoją przenikliwość swoje wskazania i plany, swoje proroctwa, swoją odwagę, swoją krew, słowem wszystko, czem rozporządzał. Nie chciano go słuchać, oburzano się, odpychano, nie pozwolono wziąć udziału w ratunku. Pozostawała mu jeno głucha rozpacz i przekleństwo współczesnych za to, że chciał ich ratować, i życie strawione gorączkową pracą, życie sterane na które godziło tyle osób...

Mochnacki był najszczęśliwszą w Polsce wielkością. Nieporównany pisarz ani jednego z dzieł swoich nie doprowadził do końca, niestrudzony działacz ani jednego ze swoich zamierzeń nie wcielił w czyn, a wszystko co stworzył, sam zdruzgotał lub zdruzgotać się starał..

Na gruzach jego myśli były wznoszone całe gmachy ideologji politycznej. Przekształcały się parje na emigracji, zamierały jedne i powstawały nowe, a w każdej z nich można by wykazać strzępy potężnych myśli, które pierwszy wygłosił Mochnacki... Ale wpływ jego nie skończył się na emigracji. Myśl Mochnackiego nie przestawała żyć i na obczyznie i w kraju. Krytyka literacka w Polsce kilkadziesiąt lat z rzędu przerabiała i trawiła prace literackie Mochnackiego, a jego Powstanie narodu polskiego stało się manifestem rewolucyjnym dla następnego pokolenia...

Mochnacki był nietylko najpotężniejszą indywidualnością polityczną, jaką wydała Polska w XIX. stuleciu... był jeszcze jednym z najwybitniejszych umysłów ubiegłego wieku, był zarazem najprzenikliwszym człowiekiem swojej epoki, a od czasów Skargi największym prozaikiem polskim. Słowo jego miało jasność błyskawicy i rozległość grzmotu. I oślepiało jak błyskawica i jak grzmot wstrząsało całem pokoleniem..

W takich ramach, tak wielkiemi słowy określa autor postać Maurycego Mochnackiego, wyznaczając mu miejsce na samych szczytach narodowego panteonu. I jeżeli nawet w krótkiem sprawozdaniu z książki trudno się zapuszczać w badanie, o ile każda część sądu autora znajduje uzasadnienie w życiu i dziełach Mochnackiego — to znamiennem jest, że zapomniana prawie spuścizna jego duchowa i literacka, po latach siedmdziesięciu pięciu poruszyła do głębi duszę badacza, historyka i wykrzesała w niej taką sumę zapału i uwielbienia, jak wówczas, gdy słowa i czyny Mochnackiego rozlegały się bezpośrednim grzmotem po Polsce.

f. j.

Dr. M. Janik.

Słowacki jako człowiek.

(Szkic biografji psychologicznej).

(Dokończenie.)

Jakim był Słowacki wobec ludzi, tego dowodem listy poety do matki, stosunek do Mickiewicza, Krasińskiego i Goszczyńskiego. I w tych stosunkach promienieje aureolą jego skroń Chrystusowo-Prometejska. Stosunek poety do matki był zupełnie niezwykły. Był to podobno jedyny duch kobiecy, którego Słowacki uczynił bezwzględnym towarzyszem swoich uczuć i myśli od dzieciństwa do zgonu. Nie chcę przypominać poświęconych matce ustępów poetyckich, ani w szczególności owej przecudnej apostrofy w Beniowskim. Byli jednakże ludzie, którzy i na ten stosunek usiłowali rzucić cień. Trudno przekonywać. Na uprzedzenie i złą wolę niema lekarstwa. Nie dla obrony poety, lecz dla charakterystyki tego stosunku niech posłuży znany brulion drugiego aktu ostatniej woli Słowackiego: „...Ja niżej podpisany, Juliusz Słowacki, wygnaniec polski, urodzony w Krzemieńcu, dziś we Francji zamieszkały — przy zdrowych będąc zmysłach — lecz czując siły moje nadwątlone pracą i smutkiem, piszę niniejsze ostateczne moje rozporządzenie pośmiertne i testament.. Naprzód oświadczam, że wszystko, co mam, winien jestem Matce Mojej najukochańszej, Salomei Januszewskiej z domu, która na moje wychowanie koszt łożyła i przez ciąg cały wygnania utrzymywała mnie z nieprzebraną nigdy hojnością, tak, że nie tylko to, co po Ojcu moim zostało, ale nawet sumy po Januszewskich sukcesji na nią spadłe odstąpione mi były i przysłane w bankierskich listach przez tę najukochańszą i najszlachetniejszą z matek, której tu niech będzie ostateczne podziękowanie i kwit, usprawiedliwający ją przed sądem Boga i ludzi... W istocie więc wszystko, co zostawiam, do niej należy, a coby jeszcze mojego znaleźć się mogło i wszystko, co posiadam, Jej zapisuję... i gdybym mógł, proch mój nawet posłałbym, aby jej był własnością“...

Stosunek do Mickiewicza, do Boga na drugiem słońcu, do wielkiego przeciwnika w duchu — nosi na sobie to samo znamię wielkości prometejskiej. Pierwszy w Polsce najgłębiej pojął jego utwory i oddał im hołd, do dzisiaj najpiękniejszy, walcząc wszakże z ideowością, którą w swojej prawdzie wewnętrznej uważał za wstrzymującą rozwój ducha polskiego i odbierającą czystość duchową spojrzeniu na przeszłość. Kilkakrotnie zbliżał się do Mickiewicza w całej prawdzie i prostocie ducha. Nieprzyjęty przez ducha Adama tak, jak się spodziewał, cofał się w powadze, nigdy ani na chwilę w sercu swojem nie budząc zazdrości ani nienawiści. Jakim był w stosunkach osobistych, takim był w głębi serca, o czem świadczą ustępy w listach i sekretne notatki w dzienniku i raptularzu. Na dwa miesiące przed śmiercią zapisał w „dzienniku“ swoim słowa, pełne miłości i uszanowania: „Mickiewicz ciągle reputację rozumnego człowieka na ofiarę rzuca, bo mu Bóg milszy, niż reputacja“. Jeżeli Mickiewicz zamilczał w wykładach paryskich o Słowackim, jeżeli duchowi Słowackiego nie oddawał tej miłości, którą mu Juliusz przynosił, zawinili w tem ludzie i biegunowo odmienne w pewnym czasie światopoglądy, zawinił Mickiewicz, — lecz od śladu nawet winy wolnym jest Słowacki.

Krasiński poznał geniusz Słowackiego i wystąpił z całą odwagą w obronie ściganego przez złośliwość i małoduszność ludzką poety. Słowacki był mu wdzięczny i oddał serce za serce. A jednak prawda ducha milszą mu była niż przyjaźń. To też na Przedświtu żywoty księżycowe i na stronnicze Psalmy przyszłości odpowiedział płomiennym wybuchem „Do autora trzech psalmów“. Nie mógł milczeć Słowacki wtedy, gdy chodziło w jego rozumieniu o ocalenie duszy narodowej z obłędów księżycowej fantastyczności.

„Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem Bożym nieskrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci
Tak jak szatan dotąd stoi:
Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświecona piekłem mara,
Dla was święta tem, że stara...
To ja, pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę; —
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem —
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów, poprzek staniem“!

Wolał Słowacki narazić się na utratę wpływowego przyjaciela niż na kłam duszy własnej, na milczenie wtedy, gdy droga prometejska ducha polskiego domagała się protestu — w imię najdroższych prawd ojczystych.

Rzewnym prawdziwie był stosunek poety do Goszczyńskiego i sposób najdelikatniejszy, z jakim potrzebującemu przychodził z pomocą. A nie była to pomoc jedyna. Pomagał i innym emigrantom ze szczupłych swoich funduszów, boć sam musiał żyć skromnie i tylko przy tak skromnem życiu starczyło mu na codzienne potrzeby. Nawet ów rozkrzyczany zarzut, że przyjaźnił się z Michałem Skibickim, w świetle prawdy świadczy o szlachetnem sercu Juliusza. Cóż dziwnego, że przywiązał się do człowieka o najpiękniejszej przeszłości i najpiękniejszych nadziejach Cóż gorszącego, że, gdy człowiek ów zbłądził, poeta zachował dla niego iskrę współczucia, boć chyba szlachetnie ludzką jest rzeczą

współczuć dla człowieka, złamanego dla przyszłości przez błąd jeden, choćby bardzo wielki. Przywiązanie, jakie mieli dla Słowackiego ludzie, którym danem było spojrzeć w przeczystą jego duszę, przywiązanie ludzi obcych i służby, która w codziennem spotykaniu miała sposobność poznać dokładnie usposobienie poety — świadczą również, że Słowacki, jako człowiek, był nieskazitelnym i swiętym w najlepszym znaczeniu tego wyrazu.

Wiadomo zresztą, że nieprzyjaciele jego, którzy skorzystaliby z pewnością z najdrobniejszej sposobności, nie umieli nigdy zrobić zarzutu Słowackiemu jako człowiekowi. Czy wielu takich ludzi na ziemi, których zaletom osobistym i wróg nie może ubliżyć.

Zupełnie osobliwym był stosunek Słowackiego do kobiet. „Po obiedzie z pannami gram w wolanta — pisze do matki z Genewy (6. czerwca 1833) — i w obręcze czyli w kółka. W obu tych grach doszedłem do wysokiego stopnia zręczności, choć mi wyższości nad sobą panny przyznać nie chcą. Często w takich grach przychodzi do walki, wtenczas zrywamy róże i rzucamy na siebie, słowem wesoło nam czasem“. Słowa te charakteryzują cały okres młodości Słowackiego, o ile chodzi o stosunki z kobietami. Młodzieńcza przyjaźń i łagodny uśmiech czystych ust kobiecych — oto wszystko. „Lękam się — pisał innym razem (5 lutego 1835) — czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że się już nigdy kochać nie będę. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobne do osiągnienia“.. W latach późniejszych nie myślał już o kobiecie jako kochance, choż rozumiał rozkosz i boleść występku i miał przebaczenie dla Ellenai. Jeszcze później pisał, że dla duchów, które się czują blizkie „Chrystusowej odkupionej natury“, małżeństwo jest grzechem, a czystość tą siłą, przez którą pracują najpotężniej nad wykupieniem ducha globowego z niewoli. W niższych globowych sferach ludzkości małżeństwo jest jeszcze konieczne, ale oświęcić się musi i obmyć niejako sakramentalną Chrystusa potęgą (t. j. musi być zawarte w miłości Boga), aby duchowi nie szkodziło. Wtedy kobieta wydała się poecie towarzyszką świadomą Prometeusza w drodze do wyzwolenia, choć to wyzwolenie trudno jej przyjdzie, bo niemal do ostatniej chwili kobieta będzie bronić miłości ziemskiej. Jak Chrystus był dla poety symbolem wyzwolonego Prometeusza, tak Marja jest symbolem ideału, do którego dąży kobieta prometejska: Wiesz że ty, kto to jest Najśw. Panna? Oto przez cztery tysiące lat cała natura, wszystkie ludy przeczuwały, że raz przez kobietę, rozmiłowaną w Bogu, złamane będzie prawo natury najpierwsze. Poeci przeczucie to zamieniali w kształt i ciągle o tem gadali, bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Wielkość tego przeczucia zatrważa, powszechność jego zadziwia. Otóż duch Najśw. Panny spełnił cud i ludzkość cała, jakby otrzymawszy to, czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach“ (luty 1845).

Dla uniknienia nieporozumienia należy zauważyć, że nazwanie Słowackiego duchem prometejskim pochodzi z oceny kierunku ideologii poety. Nie znaczy to jednak, jakoby Słowacki sam tak pojmował mit o Prometeuszu, jak go podałem. Raczej zaznaczyć należy, że Słowacki gorszył się wykradzeniem ognia przez Prometeusza. Dla poety bowiem o g i e ń był symbolem niższych wartości globowych w przeciwstawieniu do ś w i a t ł a, które było dla poety symbolem najdoskonalszego pochodu ducha. Nie zmienia to jednak istoty rzeczy w chwili, gdy nie idzie o interpretację symboliki języka Słowackiego, lecz o określenie natury życia i kierunku twórczości poety. Prometeusz i Słowacki byli bezwzględnymi bojownikami własnej prawdy wewnętrznej — i dlatego określenie Słowackiego jako ducha prometejskiego ma za sobą całkowite psychologiczne uzasadnienie.

Oto zaledwie dotknięte niektóre linie charakteru Słowackiego jako człowieka. Zdumiewający pięknością poemat życia, arcydzieło przedziwne ogromnej woli, godne poematu słowa, które zostawił, arcydzieła natchnienia, wyobraźni, uczucia i myśli prometejskiej. Postać wyjątkowej piękności nie tylko w Polsce. Tem większy dziw, że wyszedł z Polski — zdawałoby się — niewdzięcznego podłoża dla zjawiska tak wyjątkowego. Snać są jednakże w duszy polskiej źródła takiej piękności, choć przydeptane tradycją rubaszności sejmikowej i brakiem krytycyzmu i przeszło wiekową niewolą. Zatem tem większa wiara w przyszłość, skoro matka Polka wydała na świat jednego z największych duchów prometejskich, co dał narodowi polskiemu ogromny wzrost duchowy:

> „pierwszy za ducha wolnością i władzą —
> nie dla zapłaty, ani próżnej chwały“ ..

W jednym z listów do matki (24 marca 1834) napisał poeta o wychowaniu młodego Polaka takie słowa: — Ach, bądźcie pewni, że nigdy nie zapomnę o tym świętym długu, który rodzina nasza względem Stasia sieroty zaciągnęła — i jeżeli będę w stanie, to roję sobie często, że Stasia małego wezmę do siebie, dam mu wychowanie, pozbawione wszelkich przesądów i obrębów, aby kiedyś mógł być chwałą kraju... Często rozmyślam, jakbym w jego głowie wiązał nauki w jedną budowę, nie tak, jak one u nas kładą pomieszane w głowę przepełnioną dziecka“.. W słowach tych 25-letniego młodzieńca mieści się jakby w zarodku cały testament Słowackiego i wskazanie źródła samoodrodzenia.

Nazywamy Słowackiego Anhellim, bo spełnił wobec narodu ofiarę serca i legł w samotnej mogile w obcem mieście, gdzie czuwa nad nim Eloe, anioł umarłych. Dzisiaj odmawiają mu grobu na miejscu w ojczyźnie najdostojniejszem, chociaż poeta był więcej jeszcze niż Anhellim, był Prometeuszem polskim, który przez samoodrodzenie w narodzie wskazywał szlaki nieskończone, do których

dąży szlachetny geniusz człowieka. Skroń jego, opasana Chrystusową aureolą prawdy wewnętrznej, śniła czasy, w których przewyższonem będzie ewangeliczne: „Co cesarskiego — cesarzowi; co boskiego — Bogu“, w których zapanuje na świecie całkowita prawda duchowa we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego, w których rządzić będzie hierarchia duchów wolnych, Synów Bożych, w których „zjadacze chleba“ przemienią się w aniołów. Kto gorszy się takimi szczytami, niech rzuci kamieniem potępienia. Ale i wtedy niedotkniętym zostanie duch Juliusza, wieszcza-jasnowidza, bo Słowacki człowiek życiem swoim dał wzór wiekuisty, jak zdobywa się królewskość ducha. Słowacki-wieszcz i Słowacki człowiek nie przestaną kołatać do serc i mózgów polskich, dopóki niewolnicy nie przedzierzgną się w ludzi, dopóki Jutro nie przyniesie wyzwolenia..

Zygmunt Lubertowicz.

POŻEGNANIE GÓR!

Daj mi matko kwiatów na wygnanie,
bo tatrzański marzy mi się bór,
pierś sierocą rozdziera mi łkanie
i daleki słyszę smreków chór,
serce tęsknić do was nie przestanie,
bom jest dzieckiem granitowych gór

hej, jak smutne moje pożegnanie
gdy daleki smreków słyszę wtór!

hen ze wzgórza jeszcze zwracam oczy
oczy smutne, gorzkich pełne łez,
na to miasto w dolinie uroczej,
gdziem usłyszał pierwszą matki pieśń
nad kołyską, gdzie w nieba przeźroczy,
turń wytrysnął granitowy kres,
gdzie wichr halny bystre skrzydła toczy,
hej ty wichrze, weź mnie w skrzydła, weź!

weź mnie w skrzydła, nieś na hale jasne,
bo u obcych smutny nieba krąg,
bo jak dziecię na obczyźnie zgasnę,
co je matce w śnie wydarli z rąk,
bo tu w chacie takie wszystko własne,
a u ludzi pełne łez i mąk,
tam samotny nigdy ja nie zasnę,
bym nie tęsknił do tatrzańskich łąk.

pożegnanie moje hej sieroce,
jakbym nigdy nie miał wracać już —
w jakiejś trwodze serce mi dygoce,
śnią mi kwiaty się alpejskich róż,
jak ptak jestem tu trzepocę
do ojczystych hal, — do skalnych zbóż,
w ciche ranki i jesienne noce,
smutnym niby ludzki anioł stróż.

daj mi, matko, jeszcze skalną różę
powiedz mi co jeszcze kilka słów
tam u ludzi sroższe niż tu burze,
więc i czasem pacierz za mnie zmów
wiesz, że jestem takie dziecko duże
i serdecznych kocham ciszę znów —
tam się w słońca kochałem purpurze,
w ciszy ramion waszych, skał i mchów.

niech usłyszę jeszcze pieśń pasterza,
co powraca od błękitnych hal,
jak Dunajca prąd o brzeg uderza,
jak się z pluskiem srebrzą grzbiety fal,
błogosław mi matko na rycerza,
bo za chlebem czas mi odejść w dal —
i niech będzie pamięć o mnie świeża
pamiętajcie, że mi żal, że żal!...

Nim słońce wzejdzie.

(Dokończenie).

Jednak o zmierzchy skrzydłami bijąca
I piekieł naszych ogarnięta sferą
Oczyma szukam dnia blasków i słońca
Contra spem spero!
I w głębi mogił czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze...

Blade popołudnie niedzielne. Na dworze szaleje marcowa zawierucha. Niebo, ziemia, powietrze wszystko przysłonięte gęstą, białą oponą. I tylko majaczą ciemne kontury świerków, kołyszące się od podmuchów wichru.

Chwilami uderza silniejsza fala, kołacze głucho okiennica, szyby dzwonią leciutko jakąś żałosną przejmującą skargę.

Siedzimy we dwie w małym pokoiku na górze. Ciepło tu i zacisznie. Tylko z dołu, jakby z pod podłogi przypływa do nas jękliwa melodja „Gorzkich Żali, które wyciąga jakiś przenikliwy dyszkant kobiecy.

...Z głową opartą na dłoniach, przy stoliku pod oknem Ala czyta list. Białe jej, wychudłe palce zanurzone w ciemnej gęstwinie włosów, splotły się

kurczowo, przez twarz przelatują co chwila płomienie, aż w końcu pozostają na policzkach ciemnemi plamami rumieńca.

Z oczu, gdy je wzniesie nieco przy odwracaniu kartek, — biją blaski jakieś promienne.

Patrzę na nią już długą chwilę w milczeniu, a dusze uciska mi jakiś dziwny ciężar.

Wiem... to od Jerzego z wygnania ten list, ale co w nim tak porusza to dziecko biedne?..... Głuche przeczucie mi mówi, że znowu majaczy mu jakiś złoty miraż, który prysnąć musi.

Skończyła czytać i ukrywszy twarz w dłoniach, długą chwilę pozostała nieruchoma. Podeszłam z wolna, przygarnęłam ją do siebie i spytałam cicho:

— Alu, co ci Jerzy pisze?

Podniosła na mnie płonące oczy.

— Skąd wiesz, że Jerzy? Przecież i adres i stempel...

— To nic, ja wiem...

— Widzisz Maryjko, zaczęła gorączkowo. Jerzy pisze, że wkrótce, może już w maju, lub czerwcu wróci, — wróci napewno... mają plan, który się udać musi. I środki mają, Wróci, mnie po drodze zabierze, potem razem udamy się za granicę.

Pobierzemy się.. Mnie umieści w Zakopanem. Ma kolegę w Sanatorjum, z resztą jako żona lekarza będę tam prawie darmo. A potem... powróci, tutaj za austrjackim pasportem. Zapuści brodę.... Nie poznają go przecie. Mówi że ma tu jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Ja wiem, że to obowiązek, więc go zatrzymywać nie będę, — dokończyła ledwie dosłyszalnym szeptem.

Drżała teraz całem ciałem, a mnie łzy zdławiły gardło.

— Ty milczysz Maryjko, nie wierzysz...

— Owszem, wierzę, odparłam głucho tylko...

— Nie, nie, — nie mów już nic, przerwała gwałtownie. Tak będzie, tak być musi! —

Umilkłyśmy. W głuchej ciszy kołaczą nierówno biedne umęczone serca.

Gdzieś z pod podłogi płynie jękliwy śpiew.

„Zasłona się popadała, ziemia się rwie, łamie skała“.

Ala lekko wysunęła się z mych ramion.

— Ale i Ty Maryjko masz list jakiś.... co to, nawet go jeszcze nie otworzyłaś?

— Zapomniałam o wszystkiem, patrząc na ciebie. — A! to od Stacha, z wojny... szeptem.

Rozwinęłam, biedny poplamiony papier i przysunąwszy się do okna, przy ostatnich odblaskach gasnącego dnia, czytałam.

„W pirszych słowach mojego listu niech bendzie Pochwalony Jezus Chrystus, niech będzie, na wieki wieków. Amen. Uwiadamiam Wielmozno Panienke że jestem zdrowy z łaski najwyższego Pana Boga czego i Wielmoznym Panienkom i Wielmoznemu starsemu Panu życze i kłaniam sie niskim Ukłonem i całuje w rence i w nogi i życze zdrowia i dobrego powodzenia od Pana Boga Miłosiernego i od Matki Boskiej Częstochowskiej. I donosze że odebrałem list od Państwa i bardzo jam się uradował, że Państwo o mnie nie zapomina. Jakem odebrał, tom czytał razy dwadzieścia dlatego zem sie rozmawiał z Państwem w takiej dalekiej krainie. I donosze że u nas teraz mrozy bardzo duże. A my nachodzimy się na dworze, zimno, bida, nima gdzie i listu napisać. Przychodzo się takie dni że i 2 dni i 3 dni nima co jeść, bywa tak że nima i kawałuka chleba. I prosze bardzo żeby mi Wielmozna Panienka napisała co u nas w Polsce i w domu słychać bo juz dawno ni miałem nijakiej wiadomości od mojej zony i dzieci. A donosze panience ze ja juz byłem w boju 2 dni, no ostałem zywy chwała Panu Bogu. Pan Bóg mnie obronił, a kuli latali koło mojej głowy jak desc, tylko nachylas to tu to tu, ja patrze a koło mnie zołnize padają jak snopy niemozna i patrzyć to ubity to bez nogi to bez ronk to bez głowy a duzo było tak że nie naśli ani kości, porozrywało na kawałecki.

Ach Boze mój Miłosierny jaka jego wola Przenajświętsza ze ja niemyślałem być zywy na tyle japonskich kul, które koło mojej głowy padali.

Nimoge wiencej co pisać bo uchodzimy o godzinie 10 wieczór w bój. A ja dostałem list od państwa o 6 wieczorem. Prosze Wielmoznej Panienki żeby mi napisała jaknajprędzej moze bende zywy. Amen.

Pisał list Stanisław Wróbel“

. . . .

Opadła mi ciężko ręka z listem ku ziemi. Nabrzmiałe od łez oczy pobiegły w dal.

Na dworze ucichła już zamieć, rozpierzchły się chmury i wiatr przyczaił w rozdołach. Na rozległym gazonie i hen w szerokie świerkowej alei, faliste, dziwnie równe zaspy zdają się nieskończenie długim szeregiem białych mogił, który płynie aż na krańce, wąską linią krwawiącego się horyzontu. Z mogił podnoszą się co chwila, jak widma leciuchne, białe obłoczki śniegu.

To z wielkiego cmentarzyska ciągną ku nam żałosne cienie pomarłych braci.

Taki długi, cichy korowód.

„Może będę żywy“... wybiegł mi na usta struchlały szept.

Na niebie gasły ostatnie blaski zorzy wieczornej i cicho zapalały się pierwsze gwiazdy.

Szła długa, mroźna noc.

. . . .

„Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas, o Matko, nie opuszczaj nas“!

Błagalna, bezmiernie smutna pieśń, rozbija się o sklepienia kościoła i jak ptak zmęczony ku ziemi opada. Głucho, jękliwie wtorują organy. W powodzi kwiatów i świateł jaśnieje kamienna twarz Madonny.

Ostatnie nabożeństwo majowe.

„Cóż dziwnego, że łzy płyną, gdy to życie łez doliną“, intonuje tuż przy mnie jakiś wysoki sopran kobiecy i wraz głuchym jękiem szlocha tłum: „Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas“.

Pierś moją rozrywa jakieś rozpaczne łkanie

bez łez, kurczowo zaciskają się ręce na pulpicie ławki, usta szepczą:

„Bądź pozdrowiona Królowo bolu i żałości...
„Oto Ci serca niesiemy, kwiaty wyrosłe na ojców zapadłych mogiłach.
„Oto Ci serca niesiemy, zmęczone, biedne serca nasze“.

Zajęczały głośniej organy i umilkły nagle. Rozpłynęła się pieśń w westchnieniu, szmerze modlitw i głuchem łomotaniu w piersi.

Szum odpływającej fali ludzkiej. Kościół pustoszał zwolna. Jak mroczno...

Rozbolałemi oczyma patrzę, jak cicho, jedne po drugich nikną złotawe płomyki świec... Już tylko kilka lampek migoce u stóp kamiennego posągu Bogarodzicy, bielejącego na ciemnem tle dębowego ołtarza.

Podnoszę się i zwolna, bezmyślnie zwracam ku drzwiom. W progu przystaję i oczy na chwilę przed blaskiem przymykam.

Hen daleko, za ciemne pasmo sosnowego boru złocisto i krwawo rozgorzałe słońce zapada.

Jest cudna chwila przedwieczorna, ostatni uśmiech promiennego dnia.

Z wyniosłego kościelnego wzgórza, oczy moje obejmują rozległe płaszczyzny łąk, ciemne linje lasów i tuż u stóp, w białych sadach nieco ukrytą, gromadę chat wiejskich.

Miękką, tkliwą falą otula mnie ciepłe, wonią kwitnących jabłoni przepojone powietrze.

Drga chóralny pogwar ptactwa.

Jak senna schodzę po szerokich kamiennych schodach, usypanych białemi płatkami, rosnących po obu stronach, — czereśni. Idę coraz wolniej, nogi uginają się podemną. Osuwam się na jakiś stopień, głowę wspieram o zwietrzały mur poręczy, zamykam oczy... Bezmierne zniechęcenie ogarnia całą moją istotę.

Dokąd pójdę, dokąd i poco?... Sama jestem, sama, — sama, jak te białe kwiaty u nóg moich, podmuchem wichru ciśnięte na ostre głazy, stopą ciężką deptane... O! gdyby tak zasnąć, zasnąć cicho, snem bez snów i przebudzenia.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! zaszemrał tuż obok stłumiony głos.

Podniosłam nawpół przytomne oczy.

Przedemną, o parę schodów niżej stała Stachowa, zbiedzona i smutna.

— A! to Wy... to dobrze. Chodźcie tu bliżej, siadajcie. Tak dawno Was nie widziałam.

— Od pogrzebu starszego pana, odparła cicho.

— Od pogrzebu... powtórzyłam bezdźwiecznie i urwałam.

— Panienka tera sama jedna, zaczęła po chwili Stachowa. Pono i panna Ala pojechała zagranicę?

— Zabrała ją ciotka do Włoch, zaraz po śmierci ojca.

— A długo tam będzie?

— Nie wiem... bardzo chora.

Przymykają się zwolna obrzmiałe od łez powieki. Cisza... tylko wróble ćwirkają gdzieś sennie i z ledwie dosłyszalnym szmerem, sypie się co chwila na moją głowę biały kwiat czereśni.

Obolały mózg z dziwną wyrazistością odtwarza ostatnią chwilę pożegnania.

I widzę bladą, drobną twarzyczkę, wśród zwojów czarnej krepy, jak pochyla się ku mnie z okna wagonu.

Taki bezmiernie smutny, mrozem zwarzony kwiat. Mówi z cicha rwącym się co chwila głosem:

— Maryjko! nie patrz na mnie tak... ja wrócę, wrócę...

Zakaszlała krótko, przenikliwie.

— Ale, gdyby się co stało, dodaje po chwili jeszcze ciszej, — boć przecie wszystko możliwe... mówię tylko tak... a gdyby Jerzy tu wrócił, to mu powiedz odemnie...

Przenikliwy dźwięk dzwonka stacyjnego zgłuszył ostatnie słowa.

Odpowiedział mu głuchy jęk lokomotywy, zgrzytnęły łańcuchy.. Kurczowy uścisk ręki, kilka słów bezładnych, wzajem niesłyszanych.

Bledziuchna jak opłatek twarz niknie z pod oczu.

Tylko czarne skrzydła załobnego welonu szarpnięte wiatrem raz jeszcze powiały ku mnie z oddali.

I już Cię nie ma, ptaszyno Ty moja żałobna..

— Nie płaczcie, panienko, mówi cicho Stachowa, na wszyćko je moc boska. Spoglądam na nią długą chwilę.

Siedzi zgarbiona, rękami oplotła kolana, oczy bezmiernie smutne patrzą przed siebie, jakby w zaświaty.

— Stachowa, mówię pochylając ku niej i Was jakaś niedola gniecie. Co Wam?

Na te słowa, przenikliwy, jakby dawno dławiony szloch, wyrwał się z piersi kobiety. Rękami z schwyciła się za głowę, przypadła do moich kolan i wybuchnęła strasznym zawodzącym płaczem.

— Co Wam, co Wam?

Bezskutecznie staram się unieść jej głowę i podeprzeć ramieniem. W końcu opuszczam ręce i czekam bezradnie, aż się wyczerpie i ucichnie.

— Jak ona płacze, jak strasznie, żywiołowo płacze, myślę w jakiemś dziwnem osłupieniu. Ma czego... tak to jasne. Stach jej kochany, dobry Stach zabity... Niema Cię już, Ty moja dumo, Ty jasny duchu mej wioski. Zabili, zabili, szepce zdrętwiałemi usty.

Płacz cichnie zwolna, jeszcze kilka jękliwych westchnień i z lekka chlipiąc podniosła głowę i spadłą z ramion chustkę rozplątywać poczęła.

— Stacha zabili, wyrzekłam cichutko. Poruruszyła się gwałtownie, oczy błysnęły jakimś dziwnym wyrazem i wyrzekła twardo:

— Wolejby go zabili!

— Stachowa! co Wy mówicie!?

Oddychała szybko, a z twarzy biła taka tępa zawziętość, aż cofnęłam się mimowoli w zdumieniu.

— To już ja panience wszyćko po porządku opowiem, zaczęła po dłuższej chwili, bezdzwięcznym cichym głosem:

„Akuratnie w te niedziele kiedy Pan starszy pomarł, przysłali, że jest jakieś do mnie pisanie w gminie. Zara mnie tchnęło, ze musi to coś złego być. Przychodze, — pisarz wziął czytać, jakiś papier, najpierw po rusku, później po polsku, długo o coś rozpowiadał.

W głowie mi się odrazu zmąciło, to ino wyrozumiałam, ze jesce w zimie, Stachowi harmata obie nogi w boju urwała, a jak go wieźli do śpitala, mróz był wielgi, ręce se odmroził i musieli mu obciąć obydwie...

Tera je w śpitalu czy jakiejś ochronie w Mamżuryi niby to zdrowy, dają mu tam pomieszkanie, zycie i wszyćko. Ale jemu się cni okrutnie i uprosił felcera, zeby wysłał od niego pisanie do domu. A w tym pisaniu to bardzo prosi, zebym ja mu psysłała kozuch i choć ze śterdzieści rubli, to on powróci. Bilet na kolej to już dadzą darmo, ino trza na przezywienie i zapłatę dla tego człowieka coby odwiózł.

Jakem to usłyszała, Pani moja, tak zara w tyj kacerarji padłam jak nieżywa aze mnie wodę lać musieli. A jak wróciłam do domu, tom tez trzy dni ni jeść ni spać nie mogła. Cięgiem mi stał przed ocami gdzie sie ino obrócę. Az... cwartego dnia posłam do gminy...

— I co? i co?... spytałam szczękając zębami.

— A cóz, odparła zwolna odwracając w bok głowę, kazałam pisarzowi zeby dał odpis: wkiej mu tak zrobili, niech go teraz zywią! Ja go jus takim i widzieć nie chce! dokończyła twardo.

— Jezus Marja! Stachowa! jak Wy się Boga...

Głos mi się złamał.

Zapadła głucha cisza, przerywana tylko cienkim oddechem Stachowej.

Znagła, splecionemi rękami ścisnąwszy czoło, do nóg mych przypadła i z cicha jęczeć poczęła:

— Panienko, nie patrzcie Wy tak na mnie... Ja wiem, wszyscy bij zabij, jak na tego psa. A co ja winna?!. Sama, z tem czworgiem drobiazgu, matka stara... a tu trzy morgi aby. Skąd ja wezme tyla pieniędzy? A przecie i jemu jeść trza dać. Kaleka, jak ta kłoda..

Jezu, Jezu, Jezu!.

—Cicho, cicho, szeptałam bezmyślnie, gładząc ją po głowie ręką zdrętwiałą i zimną.

...Ucichła zwolna i w skurczu jakimś bolesnym znieruchomiała.

W jakiejś chwili podniosła ku mnie głowę i patrząc prosto rozbłysłemi dziwnie oczyma — spytała:

— Panienko! czemu nasz naród tak cierpi?

— Nie wiem... nie wiem...

Wieczór już zapadł. Na wzgórzu tlukły się jeszcze nikłe odbrzaski zorzy wieczornej, ale u stóp naszych w dolinę, zeszedł już mrok. Tu i ówdzie rozbłysły po chatach światełka, od łąk nad rzeką rozwłóczyły się mgieł welony. Chóralny rozhowor żab rytmiczną falą płynął powietrzem.

Podniosłam się zwolna i obejmując ramieniem skuloną postać kobiecą rzekłam:

— Pójdziem już, Stachowa. Pójdziemy razem jednaka nam droga...

...Cicho schodzimy po kamiennych schodach w dolinę — przez zasnute mgłą łąki idziem ku ciemnej świerkowej alei, gdzie wierzchołkami jakieś się dziwne szumy niosą.

Jaka noc ciemna, jakie rosy zimne...
Hej! Przyjdzie słonko na niebiosa wschodzące
I wypije chłodne rosy na łące!
Czy wypije i łez naszych morze?

Marja Guzowska.

NOTATKI.

Muzeum djecezjalne w Żytomierzu. Nowowzniesiony gmach „Domu dla Księży“ w Żytomierzu obok innych instytucji zawarł także w sobie muzeum djecezjalne.

Zbiory owe zostały podzielone w następującym porządku: portrety, numizmatyka, oręż, przedmioty kultu religijnego, porcelana, tkaniny, książki, wreszcie różne zabytki.

Względnie bogaty dział numizmatyczny posiada polskie i rosyjskie monety, oraz medale pamiątkowe.

Wśród zbiorów oręża, obok polskich pałaszów i karabeli, zwraca na się uwagę oryginalna szabla adjutanta Kościuszki Wysockiego.

Obok okazów porcelany saskiej, koreckiej i baranowieckiej znajduje się także oryginalny kryształowy puhar z herbem Pilawa.

Z tkanin wyróżniają się pasy słuckie i rozmaite kawałki brokatów, już to z przędzą aluminiową, już to ze złotem japońskiem, wreszcie tak zwane preteksta kolońskie na szlaki do kap, na krzyże do ornatów, na pasy do dalmatyk, na stuły i manipularze w stylach gotyckim i romańskim.

Pozatem, muzeum posiada trochę wykopalisk, kamienne młoty, siekiery, łzawnice, amulety i wreszcie rzecz bardzo cenną, oryginalną swastikę indyjską.

Dział, zawierający przedmioty kultu religijnego, posiada dawne kielichy, patyny, ampułki i ryngrafy.

Wśród rozmaitych zabytków wyróżnia się misternie cyzelowana srebrna kasetka z emaliowanymi herbami i monogramami Stanisława Augusta.

Z druków ma muzeum książkę z 1486 roku, dawne mszały unickie, dyplomy katolickie, drukowane w ongi katolickiej Poczajowskiej świątyni, manifest drukowany w Przytuli pod Mińkowcami przez znanego Marchockiego i wiele innych zabytków.

Krzesło Kościuszki. P. Henryk Hugo Wróblewski ofiarował muzeum krajoznawczemu w Kielcach krzesło, na którem podczas przemarszu wojsk polskich pod Połańcem, siedział Tadeusz Kościuszko.

Jest ono prostej, zwykłej roboty i zniszczone. Krzesło p. W. otrzymał od p. Knothe, która przysyłając mu je, dołączyła list następujący:

„Szanowny Panie! Krzesło, które przesyłamy, było w użyciu Kościuszki podczas obozowania wojsk pod Połańcem. Kościuszko mieszkał w Podskalu tuż nad Wisłą, na wyniosłem wzgórzu w domu wdowy Jungiewiczowej. Pani Jungiewiczowa była kobietą niezwykłej urody i dobrą patrjotką i z pietyzmem strzegła pokoiku, w którym mieszkał bohater narodu. Na szybie okna, jeszcze przed trzydziestu laty widniał własnoręczny podpis, „Tadeusz Kościuszko“, brylantem pierścionka kreślony. Jungiewiczowa żyła bardzo długo a oddając majątek jedynej córce Mruczkiewiczowej, poleciła szanować pamiątki po Kościuszce. Przed dwudziestu kilku laty dom się spalił, a z przechowywanych przedmiotów ocalało tylko krzesło. W kilka lat, gdy probostwo połanieckie objął brat męża mojego, Mruczkiewicz, wnuk Jungiewiczowej, krzesło darował ks. Apolinaremu Knothemu (prałatowi i profesorowi seminarjum w Sandomierzu. *Przyp. red.*) Przed dwudziestu laty, w chwili pożaru Połańca, mąż mój wyniósł krzesło z płonącej plebanji i od tego czasu było w naszem posiadaniu. W okolicy było więcej pamiątek; dziś już trudno spotkać cokolwiek. Pozostałe wały świadczą o projektach Kościuszki. Przyjemnie jest mi przesłać Szanownemu Panu wyrazy pełne szacunku i poważania.

A. Knothowa“.